

Cichocki, Gawin, Karłowicz o Mironie Białoszewskim

Białoszewski jest mistrzem międzyludzkiego szczegółu, tego co pojedyncze, nieoficjalne, prywatne. On nie jest antyspołeczny czy antypolityczny – w tym nie ma żadnej ostentacji – on jest aspołeczny i apolityczny, a to ogromna różnica – mówi Dariusz Karłowicz w programie „Trzeci Punkt Widzenia”.

Narrator: Dopiero po 30 latach ukazała się dziennikowa powieść Mirona Białoszewskiego „Chamowo”. Jest to zapis jednego roku z życia poety, który spędził w swoim nowym mieszkaniu w bloku na peryferiach Saskiej Kępy w Warszawie. Nazwę „Chamowo” wraz z nowym słowem „mrówkowiec” przyniosła poecie w prezencie na nowe mieszkanie zaprzyjaźniona z nim Ewa Berberyusz dodając „Tu kurortu nie będzie”. Białoszewski musiał się wyprowadzić z dawnego mieszkania przy Placu Dąbrowskiego, gdzie, jak sam pisał, „bywał cały świat” i gdzie powstał „Pamiętnik z powstania warszawskiego”. Białoszewski pisał: „Ostatnia noc na placu Dąbrowskiego. 17 lat mieszkania tu. I już gotowe do przewózki czekają: wieszak, który grał w teatrze, szafa po Romanie na płyty i do siedzenia skrzynia z podwórza (...)”. Kiedy się przeprowadzał miał 54 lata – swoją sytuację w nowym otoczeniu porównywał do pobytu Robinsona na bezludnej wyspie.

Dariusz Gawin: Stare łacińskie powiedzenie brzmiało „habent sua fata libelli”, książki mają swoje dzieje – i tutaj otrzymujemy dokładną ilustrację tej starej maksymy. Książka-pogrobowiec, wydana ćwierć wieku po śmierci autora – ale i książka-legenda, bo było wiadomo, że Miron nad nią pracował, ale nie był z niej ostatecznie zadowolony, nie została wydana za jego życia, chociaż

fragmenty były drukowane, m.in. w tomie „Rozkurz” i w innych miejscach, gdzie publikował swoją prozę. Marianna Sokołowska z benedyktyńską cierpliwością porównała zachowane fragmenty rękopisu z tekstem, który był nagrany przez samego autora na taśmę magnetofonową dla swojej niewidomej przyjaciółki, Jadwigi Stańczakowej. Potem ta taśma trafiła do warszawskiego Muzeum Literatury i w taki sposób, dzięki jej mrówczej pracy, otrzymujemy po latach tę książkę.

Dariusz Karłowicz: Niektórzy powiedzą, że ta książka nie przynosi niczego istotnie nowego, choćby dlatego, że jej fragmenty znaleźliśmy już wcześniej. W zasadzie można się z nimi zgodzić. Tym, co świętują czytelnicy Białoszewskiego, nie jest odkrycie jakiegoś nieznanego Mirona, który gdzieś zaginął, odkryty po latach jak Atlantyda. Dla jego miłośników, do których sam należę, ta proza to jest takie dziwne połączenie rzeczowości, lapidarności, kolokwialnego, podsłuchanego języka z niezwykle ciepłym, który z tego wszystkiego emanuje – dziwnego pomysłu na możliwość obcowania z tym dziwnym człowiekiem, niemal prywatnie, bo prywatność to jest w ogóle słowo kluczowe, gdy mówimy o Białoszewskim...

Marek Cichocki: W nagraniu, o którym wspominałeś, w tym swoistym audiobooku, nagrany przez Białoszewskiego dla jednej tylko słuchaczki, jest cały Białoszewski – osobny, ale nie samotny, chłodny, ale zarazem niesamowicie żarliwy.

Dariusz Karłowicz: Bo to jest taki trochę awangardowiec, trochę jurodiwy – człowiek z jednej strony osobny i aspołeczny, z drugiej zawsze otoczony ludźmi i z każdym z nich zdolny do osobnej, szczególnej relacji, zresztą takiej samej, jaką wytwarza z czytelnikami. Moim zdaniem tajemnica Białoszewskiego polega na tym, że on jest z jednej strony jakby taki, aż chce

się powiedzieć, ślepy na to co ogólne, na to co społeczne, na to co historyczne, na to co polityczne. On jest apolityczny w takim głębszym bym powiedział niż partyjny, w takim arystotelesowskim sensie tego słowa. A zarazem jest mistrzem takiego międzyludzkiego szczegółu, tego co pojedyncze, nieoficjalne, właśnie prywatne. On nie jest antyspołeczny czy antypolityczny – w tym nie ma żadnej ostentacji – on jest aspołeczny i apolityczny, a to ogromna różnica. Przez to, być może, to jest taki pisarz, który z niesłychaną ostrością widzi to, co umyka twórcom usposobionym właśnie społecznie, republikańsko, historycznie – tym wszystkim, którzy szukają abstraktu, ogólności, uogólnienia w losach, metafory. On od tego stroni i to jest jeden z powodów dlaczego ta książka jest tak uderzająca. Nie widać w niej właściwie „epoki” w tych wszystkich przejawach, do których jesteśmy przyzwyczajeni z lektury książek historycznych – to samo jest z „Pamiętnikiem z powstania warszawskiego”. To jest takie doświadczenie ludzkie brane nieomal sauté, bez tego wszystkiego. A jeśli chodzi o samo „Chamowo”, to jest jeszcze jeden powód, dla którego ta książka mi jest bardzo bliska – właściwie każdy szczegół, każdy widok, każda dziura, o której on pisze, to jest rzecz z mojego dzieciństwa. Ja się na Saskiej Kępie wychowałem, miałem chyba jedenaście lat, gdy Miron wprowadził się do mrówkowca.

Dariusz Gawin: Ja też mieszkałem niedaleko, bo na Grochowie, czyli po drugiej stronie tego podwórka – widać je gdzieś tam z tego wieżowca, ukazuje się na horyzoncie. Poruszyłeś wątek miasta jako tematu – na ogół u Mirona koncentrujemy się na ludziach, życiu codziennym, rzeczach, a tu pojawia się miasto jako temat. W „Chamowie” jest to osvajanie nowej dzielnicy, do której autor się sprowadził, z lewobrzeżnej do prawobrzeżnej Warszawy. To jest po prostu portret Pragi, szczególnie jej południowej części. I on to miasto specyficznym traktuje. Ty powiedziałaś, że on traktuje ludzi jako osoby prywatne, wyabstrahowane z całego kontekstu, w którym funkcjonują – i on też miasto tak widzi. Gdyby pisał to Iwaszkiewicz, to mielibyśmy cały wykład historii: najpierw było błoto, potem Sasi, potem lud warszawski, przez XVI

wiek, przez II Rzeczpospolitą, aby wreszcie zobaczyć to blokowisko. A u Mirona nie – miasto obywa się bez historii. Zamiast kontekstu jest ta kępa chwastów, z której się rwie jakieś polne kwiaty, widok z mostu... W taki sposób chyba widzą miasto dzieci. Stąd też nasz sentyment, bo my byliśmy tymi dziećmi właśnie wtedy, kiedy on to pisze. Dzięki temu ja sobie przypominam, jak ta dzielnica jest sportretowana w serialu „Stawiam na Tolka Banana” – tam przecież postać grana przez Filipa Łobodzińskiego mieszka na Saskiej Kępie, w parku Skaryszewskim gra w tenisa, Karioka mieszka na Przyczółku Grochowskim, czyli tuż obok, oni tam kopią coś i odkrywają rzeczy na ogródkach działkowych, które są pomiędzy Saską Kępą a Grochowem... Cała dzielnica się tam pojawia i to jest też podobny czas widziany oczyma dzieci, bez żadnego wielkiego obrazu socjologicznego czy historycznego, tylko czyste tu i teraz.

Marek Cichocki: Jeżeli mówicie o blokowiskach i o mieście, to jednak szczególnie dla lat 70. symbolem takiego urbanistycznego rozwiązania jest Ursynów. Ja pamiętam jak kiedyś w latach 80. z przyjaciółmi z Francji, byliśmy na Ursynowie i kiedy się tam w środku znaleźli, to jeden z nich jęknął „Boże, co oni zrobili z tego Le Corbusiera”. Ja się wtedy nie obraziłem, bo przecież nie identyfikowałem się z tymi „onymi”, było dla mnie jasne, że to komuna po prostu zrobiła coś tak obrzydliwego. Ale później, gdy jeździłem po Europie, także we Francji, to pomyślałem sobie, że równie dobrze mógłbym tych swoich francuskich przyjaciół, nawet w Paryżu, zapytać o to samo – co oni sami zrobili z Le Corbusierem?

Dariusz Gawin: Polacy mają kompleks blokowiska, kojarzą im się z Wschodem raczej niż Zachodem, z komunizmem, ale przecież nie do końca słusznie. Blokowiska nie są ani komunistyczne, ani kapitalistyczne czy zachodnie, tylko to nowoczesne w sensie XX wieku. Maszyna do mieszkania

Le Corbusiera pojawiała się i w Berlinie Zachodnim, i w Paryżu czy na północy Włoch. Wszędzie ten znak nowoczesności został i do dzisiaj mieszkają w nich ludzie.

Marek Cichocki: Wracając do książki – tutaj mamy rzeczywiście wielki temat blokowiska. To jest taka forma społeczna i urbanistyczna, która z perspektywy klasycznej koncepcji wspólnoty jawi się jako absolutna katastrofa. Właściwie blokowisko to już nie jest kamienica, a nie jeszcze nie miasteczko, żadna wspólnota – tam nie ma żadnej agory, żadnego placu, żadnego rynku, czyli można powiedzieć, że nie ma tych wszystkich relacji społecznych, które znajdują wyraz w rozwiązaniach urbanistycznych, które mamy w naszej europejskiej tradycji.

Dariusz Karłowicz: Jednocześnie to nieprawda, że nie ma tam żadnej relacji. W blokowisku – czy chcesz czy nie chcesz, i Miron to znakomicie oddaje, zwłaszcza w pierwszych okresach nieoswojenia – słyszysz spluczkę sąsiada, uczestniczysz w małżeńskiej kłótni, potem w miłosnym pojednaniu równie intensywnie, w windzie konwersujesz z sąsiadem i nie z sąsiadem, a jednocześnie, o dziwo, znasz wszystkie dzieci, które biegają po podwórku, choć masz ogromne kłopoty w przyporządkowaniu ich do konkretnych rodzin, chyba, że są z twojego piętra. Rzeczywiście z punktu widzenia doświadczenia wcześniejszego ludzi jest to zupełnie przedziwna rzeczywistość.

Marek Cichocki: Można powiedzieć, że ze swoją wrażliwością Białoszewski urodził się, żeby opisać właśnie ten typ świata, który wyraża się poprzez wielkie blokowisko. Trzeba mieć pewną szczególną czułość i szczególną relację, wrażliwość na to, co pojedyncze i niechęć do opisywania tego poprzez te społeczne, historyczne, polityczne konteksty, którymi zwykle tłumaczy się ludzkie życie. Tutaj jest to zupełnie odwrócone i mamy do czynienia ze

spojrzeniem na świat poprzez pojedynczość relacji. Tak jak Białoszewski w opisie tego, co się działo podczas powstania w Warszawie potrafił doskonale opisać strach rozpadu w bombardowanej piwnicy, tak samo, można powiedzieć, potrafił doskonale opisać tę pojedynczość doświadczenia egzystencjalnego człowieka, właśnie poprzez społeczność blokowiska.

Dariusz Gawin: I on to dla nas oswoił – właśnie w tej książce.

Rozmowa z programu „Trzeci Punkt Widzenia”. [KLIKNIJ](#) i obejrzyj cały odcinek.